

KOMEDIA KRYMINALNA

MAJA KOTARSKA



OSTROŻNIE
Z MARZENIAMI

Maja Kotarska

OSTROŻNIE Z MARZENIAMI

[Wydawnictwo Estymator](#)

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-66719-41-5

Copyright © Maja Kotarska

Projekt okładki: Olga Bołdok

Na pogrzebie zięcia Sabina Boszko zachowywała się godnie i dystyngowanie. Stała wyprostowana, błędząc spojrzeniem gdzieś ponad głowami niewielkiej grupki żałobników. Na jej twarzy malowała się zaduma przyprawiona odrobiną smutku. Poza jak najbardziej stosowna do okoliczności. Odprowadzała w ostatnią drogę człowieka, który nigdy nie był jej bliski, a po śmierci jedynej córki stał się kimś więcej niż obcym – stał się wrogiem. I kiedy tak spoglądała z góry na zamkniętą już trumnę, była skłonna wybaczyć nieboszczykowi wiele, ale nie wszystko. Trudno jej było pogodzić się z faktem, że trwająca od lat wojna domowa wygasła tak niespodzianie. Kilka spraw pozostało niedokończonych, kilka sporów nierozstrzygniętych. Na otarcie łez pozostała jej tylko satysfakcja, że nie dała się draniowi wpędzić do grobu. To nie jej grano „Marsza żałobnego”, nie jej...

*

Sabina Boszko stała w oknie i zza niedokładnie zaciągniętej firanki obserwowała poczynania wroga. No, proszę, co za maniery, pomyślała. Ledwo wstało słońeczko, a ta wstrętna dziewczucha już tu jest i węszy. Pewnie się nie mogła doczekać, żeby zobaczyć na własne oczy, co też ukochany wujaszek zostawił jej w spadku. Kompletny brak manier i zwykłej ludzkiej przyzwoitości. Taka to wyrwie nieboszczykowi poduszkę spod głowy, zanim zwłoki zdążą ostygnąć. Ale czego można się spodziewać po krewnej Tadeusza?

– Jedna krew, jedna zaraza, tfu! – prychnęła gniewnie. – Ty też jesteś na tej liście – poinformowała szarą kotkę kręcącą się po kuchni. – Jesteś jedyną rzeczą, którą ta Agnieszka jakaś tam dostała w całości. Teraz ma pół domu, pół sadu, pół trawnika i całą kotkę. Ale nic się nie martw, kochana, pani nie pozwoli cię skrzywdzić. Nie z takimi dawaliśmy sobie radę, co, Matyllda? – Sabina wzięła kotkę na ręce i powędrowała do kolejnego okna, bo obserwowany obiekt na moment zniknął jej z oczu.

Dziewczyna najwyraźniej gdzieś się spieszyła, bo jej wizyta na Sławińskiej trwała najwyżej dziesięć minut. Pokręciła się jeszcze trochę po sadzie, ponownie zadzwoniła do drzwi wejściowych i nie doczekawszy się odzewu, wsiadła do samochodu i odjechała.

Sabina nie miała wątpliwości, że wróci, może nawet dzisiaj, dlatego bez zwłoki zabrała się do realizacji swojego najnowszego pomysłu. Postanowiła obrzydzić tej przybłądzie pierwsze chwile w nowym domu. Kolejne oczywiście też, ale nic na siłę. Najpierw należało rozpracować wroga, poznać jego słabe strony i wszelkimi dostępnymi środkami zmusić do odwrotu.

Wyjęła z puszek po herbacie pęk kluczy, które znalazły się w jej posiadaniu już dawno i nie całkiem legalnie, i zeszła na parter.

W dawno nie wietrzonym wnętrzu panowały upał i zaduch, co niezwykle ją ucieszyło. Do pełni szczęścia brakowało jej jeszcze rozkładających się zwłok, ale tym deficytowym towarem niestety nie dysponowała. Postawiła więc na cuchnące naftaliną kulki na mole i stare szmaty przesycone stęchlizną. Na dzień dobry powinno wystarczyć, a potem się pomyśli, zdecydowała, kierując się prosto do piwnicy będącej prawdziwą kopalnią rzeczy, które już dawno powinny skończyć swój żywot w śmietniku, ale z jakichś powodów ktoś się nad nimi ulitował.

Starsza pani starannie przeczesła wszystkie pomieszczenia, szczególnie te użytkowane przez zięcia, i po niespełna godzinie mogła ogłosić koniec poszukiwań. Sporo czasu zajęło jej przetransportowanie tego wszystkiego na górę i wkomponowanie w wystrój mieszkania, ale z efektu końcowego była bardzo zadowolona.

Na pierwszy rzut oka w pomieszczeniu niewiele się zmieniło. Stary dywan z nowym zamieniły się miejscami, wróciła lampa z płóciennym abażurem, a w szafie zawisło wyliniąle futro i kilka od dawna już niemodnych sztuk odzieży. Ale najbardziej śmierdziała stara spleśniała kołdra, dla niepoznaki przebrana w czyściutką powłoczkę.

Sabina była już gotowa do wyjścia, kiedy przyszła jej do głowy jeszcze jedna świetna myśl. Z wnęki przy schodach zabrała używaną kocią kuwetę i umieściła pod kuchennym stołem.

– Kuweta zostaje, ale jeszcze dzisiaj kupię ci nową – powiedziała do Matyldy nieśmiało obwąchującej swoją własność. – Ale nie krępuj się, kochana, jeszcze raz możesz skorzystać – zachęciła. – Bardzo ładnie – pochwaliła kotkę. – Pamiętaj, że walczymy o większą przestrzeń życiową i jeśli każda z nas stanie na wysokości zadania, ten dom będzie nasz i tylko nasz!

*

Michał zadzwonił tuż przed północą. Przeprosił za późną porę, ale nie mógł wcześniej ze względu na obowiązki służbowe. Agnieszka westchnęła. Tak właśnie wyglądały ich kontakty przez ostatnie miesiące. Czułe słówka szeptane do słuchawki i najwyżej jeden wspólnie spędzony weekend w miesiącu. Powinna się już do tego przyzwyczaić, ale ostatnio złapała się na myśli, że coraz trudniej jej znieść samotność. Szczególnie teraz, kiedy zważyło się jej na głowę tyle spraw. Pocieszenie, że dziewczyny marynarzy widują swoich chłopców jeszcze rzadziej, nie na wiele się zdało. Pozostało jej tylko zacisnąć zęby i jakoś wytrzymać tych kilka ostatnich miesięcy rozłąki.

– Oho! Ktoś jest dzisiaj w kiepskim humorze! – Michał doskonale wyczuł nastrój Agnieszki. – Powiesz mi, co się stało, czy mam zgadywać?

– Byłam obejrzyć ten dom...

– I co, jak to wygląda? – Michał nie potrafił powstrzymać ciekawości. Wizja lokalna miała zdecydować, czy w ogóle warto zawracać sobie głowę tym całym spadkiem. Testament testamentem, ale rzeczywistość mogła wyglądać całkiem inaczej. Jeśli ten niesympatyczny wujek podarował Agnieszce jakąś ruderę na peryferiach, to gra nie była warta świeczki. – Dom stoi?

– Stoi, stoi – potwierdziła.

– Entuzjazmem to ty jakoś nie tryskasz. Jest aż tak źle?

– Nie o to chodzi. Dom jest w porządku, zaraz wyślę ci fotki, to sam ocenisz. Martwi mnie co innego. Chyba nie najlepiej zaczęłam znajomość z sąsiadką. Wiesz, z tą staruszką, która mieszka na górze.

– Mam nadzieję, że nie witałaś się z nią po staropolsku – chlebem i solą? Mam oczywiście na myśli chleb twojego wypieku. – Michał delikatnie wypomniał jej jeden z nieudanych eksperymentów kulinarnych.

Agnieszka usiadła na łóżku, stanowczym ruchem odrzucając na bok kołdrę.

– Michał, ty sobie żartujesz, a ja mówię poważnie. Naprawdę się starałam i nie wiem, dlaczego mi nie wyszło. Ona mnie nie lubi, to pewne. A przez kota to o mało nie dostałam zawału...

Agnieszka była tego dnia na Sławińskiej dwukrotnie i za każdym razem miała wrażenie, że wkracza na cudzy teren. Po raz pierwszy wybrała się tam rano, jeszcze przed pracą. Zależało jej, żeby wizyta wypadła naturalnie i niezobowiązująco. Z Sabiną Boszko spotkała się już u notariusza, ale wtedy nie udało im się zamienić nawet słowa. Teraz zamierzała naprawić to niedociągnięcie: wpaść z króciutką wizytą, przedstawić się starszej pani oficjalnie i zapowiedzieć, że następnym razem pojawi się na dłużej. Ale już na samym wstępie Agnieszkę opanowała jakaś dziwna trema.

Zaparkowała samochód na granicy między posesjami i dwukrotnie przemierzyła całą długość ulicy, zanim zdecydowała się otworzyć furtkę oznaczoną numerem siedemnastym.

Dom jak dom, niczym specjalnym się nie wyróżniał. Piętrowy, koloru brudnej żółci, kryty czerwoną dachówką. Ani ładniejszy, ani brzydszy od innych. Z leciutkim rozczarowaniem stwierdziła nawet, że na razie nie poczuła do niego jakiejś szczególnej sympatii. Żadnego radosnego piknięcia w sercu, przekonania, że oto znalazła swoje miejsce na ziemi, i takich tam sentymentalnych głupot, jakby powiedział Michał. Nadal była tu raczej gościem, który zjawia się bez zapowiedzi, a nie pełnoprawną właścicielką domu z ogrodem. Współwłaścicielką, poprawiła się w myślach.

Cyknęła komórką kilka fotek dla Michała, obeszła budynek dookoła i trochę zamarudziła na schodach. Wyjęła z reklamówki skromne prezenty dla tutejszych mieszkanek: bombonierkę dla pani Sabiny oraz paczkę whiskasa dla kotki Matyldy – i łokciem nacisnęła guzik dzwonka. Odczekała cierpliwie kilka minut, dając staruszce czas na pokonanie schodów, i zadzwoniła ponownie, ale jakoś tak bez przekonania. Kiedy i trzecia próba nie przyniosła rezultatu, dała za wygraną. Widocznie nikogo nie zastała. Wcześniej była przekonana, że widziała czyjąś twarz w oknie na piętrze, ale może jej się tylko wydawało.

Popołudniowa wizyta to już była totalna katastrofa, o której Agnieszka wolałaby jak najszybciej zapomnieć. A tak się do niej przygotowywała. Ułożyła sobie nawet całą mowę powitalną, ale na widok zaciętej twarzy staruszki straciła cały animusz. Może gdyby odeszła zaraz po tym, jak starsza pani pomyliła ją z akwizytką, zatrzaskując jej drzwi przed nosem, zyskałaby kolejną szansę. A tak, szkoda gadać! Ponownie nacisnęła dzwonek i została tak z wyciągniętą ręką, zaskoczona faktem, że tym razem drzwi otworzyły się błyskawicznie. Wykazała się jednak refleksem i uprzedzając atak, szybko wyjaśniła nieporozumienie, dokonując wyczerpującej autoprezentacji. Na koniec w celu przełamania lodów wręczyła staruszce skromny prezent.

– Nie wiedziałam, jakie pani lubi, więc wybrałam wielosmakowe...

– Nie jadam kociej karmy! – odpowiedziała Sabina Boszko z godnością.

– Whiskas oczywiście dla kota, ale oddaję w pani ręce. A dla pani mam czekoladki od Wedla, tylko mi się pudełka pomyliły – usprawiedliwiła się, zastanawiając się, czy starsza pani ma chociaż odrobinę poczucia humoru. Jakoś na to nie wyglądało.

– A gdzie kot? – zapytała Agnieszka, żeby jakoś podtrzymać rozmowę.

– Jaki kot?

– Kotka wujka, Matylda. Notariusz mówił, że pani się nią opiekuje...

– Ciekawe, bo mnie nic takiego nie powiedział – zdziwiła się Sabina. – Zresztą i tak wyjeżdżałam.

– Jak to pani wyjeżdżała? – zapytała Agnieszka drewnianym głosem. – Przecież ona nie mogła zostać sama... – jęknęła.

Od śmierci wujka minęło już tyle czasu. Jeśli kotka została w ogrodzie, to mogła mieć jakieś szanse, ale jeśli siedziała zamknięta w mieszkaniu, to... Poraziła ją myśl, że przez karygodny brak wyobraźni wszystkich zainteresowanych żywa istota została skazana na śmierć głodową. Powinna przyjechać tu zaraz pierwszego dnia, sprawdzić, zaopiekować się...

– Kici, kici! – zawołała desperacko, nasłuchując choćby najcichszego pisku, szelestu, jednym słowem jakiegokolwiek znaku życia.

Zamiast tego coś miękkiego i puchatego energicznie otarło jej się o nogi.

– Matylda?! – zawołała z radosnym niedowierzaniem.

Przykucnęła przy cudownie ocalonej kotce i obejrzała ją ze wszystkich stron, nie szczędząc jej przy tym pieszczot i ciepłych słów.

– Czy to na pewno Matyllda?

Pytanie, tym razem skierowane do człowieka, zawisło w powietrzu, bo Sabina gdzieś się zdematerializowała. Widocznie uznała rozmowę za skończoną i wróciła do siebie.

Drzwi stały otworem, więc Agnieszka poczuła się zaproszona. Wzięła Matylde na ręce i ruszyła na zwiedzanie domu. Zaraz za progiem natknęła się na trzy pełne kocie miski i wszystko stało się jasne. A może jeszcze bardziej zawikłane?

*

Agnieszka Starzyk siedziała w kawiarni nad rozpuszczoną porcją lodów i myślała tak intensywnie, że od tego myślenia rozboleła ją głowa. Baśka dzwoniła, że spóźni się jakiś kwadrans, i to było dokładnie dwa kwadransy temu. Ale to nie był jej największy problem. Od kilku dni gryzła się sprawą spadku i potrzebowała porady kogoś, kto będzie w stanie spojrzeć na problem z dystansem. Przyjąć czy odrzucić? Oto jest pytanie! Słuchać ostrzeżeń matki, opartych wyłącznie na intuicji, czy racjonalnych argumentów narzeczonego?

– Nie śpij, bo cię ukradną! – zawołała Baśka, meldując się przy stoliku. – Sorry za spóźnienie, ale miałam dziś sporo pacjentów, a potem korki, korki i jeszcze raz korki – usprawiedliwiła się. – Lody ci nie smakują?

– Nawet nie wiem – westchnęła Agnieszka. Odruchowo zamieszała łyżeczką zawartość pucharka i odstawiła go na bok.

– Martwisz mnie, dziewczyno. Fortuna się do ciebie uśmiechnęła, a ty zamiast skakać z radości, siedzisz z ponurą miną, jakby rozboleły cię zęby. Jeśli to rzeczywiście zęby, to zapraszam do gabinetu – zażartowała, próbując rozruszać przyjaciółkę.

– Bo ja wciąż nie wiem, czy ta fortuna się do mnie uśmiecha, czy tylko ostrzegawczo szczyrzy zęby – podjęła temat Agnieszka. – Mama i Michał mają na ten temat odmienne zdania, a ja wciąż nie mam żadnego. Czas leci, wszyscy oczekują, że podejmę w końcu jakąś decyzję, ale mam coraz większy mętlik w głowie. Jeśli mi czegoś nie doradzisz, to zwyczajnie rzucę monetą i będzie po sprawie.

– Albo i nie – stwierdziła Baśka. – Do monety w razie czego nie będziesz mogła mieć pretensji, a do przyjaciółki pewnie tak, ale podejmę to ryzyko. Coś jest nie tak z tym spadkiem?

– Mama ma złe przeczucia – zaczęła Agnieszka ostrożnie. – Bo widzisz, żeby coś z tego zrozumieć, musisz najpierw poznać nasze skomplikowane relacje rodzinne. O wujku i testamencie już wiesz. Ten wujek, Tadeusz Daszycki, był przyrodnim bratem mojej mamy. Mieli tego samego ojca, ale wychowywali się oddzielnie i – jak to zwykle bywa w takich wypadkach – nie pałali do siebie sympatią. To znaczy Tadeusz nie pałał, bo mama mi mówiła, że nawet swego czasu próbowała się z nim zaprzyjaźnić, lecz nic z tego nie wyszło. Jeśli Tadeusz darzył mamę jakimś uczuciem, to była to czysta nienawiść. Winił ją za rozpad związku swoich rodziców, za to, że musiał się dzielić ojcowską miłością, i to nierówno, bo przecież ona miała ojca na co dzień, a on tylko od święta. Jednym słowem za wszystko. A na wspólnych spacerach z tatusiem nie szczędził przyrodniej siostrze wyzwisk i kuksańców. W miarę dorastania oddalali się od siebie coraz bardziej, a po śmierci mojego dziadka całkiem zerwali kontakty. Wujek wyjechał i nie dał nawet znaku życia. Aż do teraz. Jeśli zawiadomienie o śmierci w ogóle można tak nazwać. Ja nie miałam okazji go poznać. Wątpiłam nawet, czy wie o moim istnieniu, a tu nagle dowiaduję się, że zapisał mi

spadek! Całkowity szok! I to nie jakieś rodzinne pamiątki, gromadzone przez kilka pokoleń Daszyckich, tylko coś, co ma sporą wartość materialną. Dostałam mieszkanie wujka z całym wyposażeniem i z kotem na dokładkę. Wyobrażasz sobie?!

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI